

Miałem już dość i jeszcze na dodatek ta pogoda. Rano przez chwilę świeciło słońce, które szybko zakryły gęste deszczowe chmury. Siedziałem znudzony w swoim biurze na pierwszym piętrze kamienicy na *Coselweg 4*¹ i czytając gazetę, czekałem na jakiegokolwiek klienta. Jak donosiło „*Neueste Nachrichten*”²: „*Memel ist heim ins Reich*”³. Wspaniale, szczęściu nie było końca — westchnąłem i pociągnąłem łyk ze stojącej obok butelki. Dalszy ciąg był jeszcze gorszy: nadzieja na szybkie przyłączenie *Frei Stadt* do niemieckiego *Heimatu*. No i oczywiście, *Führer, Führer* i jeszcze raz *Führer* — aż się rzygać chciało. Szybko przerzucałem strony, szukając czegoś interesującego. Najpierw mój wzrok przykuła reklama tabletek na gripę i inne choroby „*Togal*”, ale wątpiłem, żeby pomogło to wyleczyć Danzig z nazistowskiego raka. Potem zobaczyłem ogłoszenie: „*zierliche hübsche Blondine aus gute hause*”⁴ — szukała męża bez nałogów. Już miałem zadzwonić na podany telefon, gdy przypomniałem sobie, jak wyglądają takie *hübschen Blondinen* z ogłoszenia... Nawet włosy rzadko kiedy były w kolorze blond.

*

Mimo całkowitego zniechęcenia do lektury, przerzuciłem jeszcze kilka stron i znalazłem to, czego szukałem: nekrologi. Wykonywany zawód zobowiązywał mnie do tego, żeby orientować się, kto miał wystarczająco dużo szczęścia, żeby opuścić to coraz bardziej „brunatne” Miasto.

Lektura nekrologów nie przyniosła niczego nowego. Rodziny, znajomi i współpracownicy wyrażali swój żal z powodu odejścia kolejnej osoby; żal często sztuczny i udawany, kolejna forma społecznego zachowania. „Bo tak wypada” — ile razy słyszało się te słowa? Dzisiaj oficjalnie pożegnano jakiegoś urzędnika Senatu, czyjąś ciocię i polskiego kolejarza Tomasza Osa. Z pozoru był to zwyczajny nekrolog, ale wprawny detektyw — a za takiego się uważałem — umiał dostrzec nieco więcej. Os był polskim agentem. Próbowałem sobie przypomnieć, czy gazety nie pisały o tej sprawie. Chyba coś tam było, jakieś zabójstwo, a może samobójstwo. Cała sprawa była podejrzana, ale nikt się tym nie przejął i wszystko szybko ucichło. Zresztą we

¹ Ulica Stanisława Staszica (Gdańsk-Wrzeszcz) — przyp. autora.

² „*Danziger Neueste Nachrichten*” — najpopularniejszy przedwojenny dziennik w Wolnym Mieście Gdańsku — przyp. autora.

³ *Memel ist heim ins Reich* (niem.) – *Memel z powrotem w Rzeszy*; Memel to niemiecka nazwa dzisiejszej Kłajpedy — przyp. autora.

⁴ *Zierliche hübsche Blondine aus gute hause* (niem.) — zgrabna, ładna blondynka z dobrego domu — przyp. autora.

Frei Stadt co chwila ktoś ginął. Przeważnie były to szaraczki, których nikt nie zauważał zarówno za życia jak i po śmierci.

Odrzuciłem gazetę w kąt i oparłem nogi na biurku. Z butelką brązowej, pełnoletniej whisky patrzyłem przez okno na ludzi szybko przemykających nieco poniżej. Uciekali przed deszczem i samochodami. Za płotem pobliskich koszar maszerowała kompania *Danziger Polizei*. Musztrujący nowych rekrutów *Hauptman*, krzyczał: *Ein, zwei drei, links, links, links...*

Całość była tak beznadziejnie nudna, że już zamykałem, oczy chcąc sobie uciąć krótką, najwyżej parogodzinną drzemkę, gdy drzwi do mojego biura otworzyły się i do środka wszedł *Kriminalkommissar* Gerhard Ziehn.

— Witaj, rosyjska gnido.

— *Zdraswujcie*, nazistowski pacholku — odparłem, uśmiechając się i ściskając dłoń Gerharda. Po czym dodałem: — Ale na przyszłość omińmy te epitety. Nie jestem bolszewikiem...

— ...tylko urodziłem się w Rosji — dokończył Komisarz. — Tak, znam tę śpiewkę. Powiedzmy, że ci wierzę, ale nie przyszedłem po to, żeby roztrząsać kwestię twojego pochodzenia.

— To o co chodzi? — Zapytałem.

— Mam dla ciebie zadanie — zaczął poważnym tonem. — O ile ten szyld przed wejściem nie jest tylko przykrywką dla twojej prawdziwej pracy.

— Sam też się nad tym czasami zastanawiam. Mów, z czym przychodzisz. Mam kogoś znaleźć, śledzić, zrobić zdjęcia?

— Zobaczysz na miejscu, wolałbym nie tracić czasu na gadanie. A teraz ubieraj się, po drodze wszystko ci wyjaśnię. Chyba, że jesteś tak zajęty, że nie masz czasu na nowe zlecenie.

— Jestem zajęty — skłamałem — ale dla ciebie zawsze znajdę czas.

— No to idziemy, na dole czeka na nas samochód.

Szybko włożyłem płaszcz, ze smutkiem odstawiłem ledwo napoczętą butelkę whisky, założyłem kapelusz i wyszliśmy.

Herr Kriminalkommissar nie kłamał — na rogu *Coselweg* i *Hochstries*⁵ czekał na nas samochód — jakiś wysłużony model, który *Kripo*⁶ otrzymało z *Reichu*. Wewnątrz był już kierowca; na jego zimowym mundurze widniała naszywka

⁵ Ulica Juliusza Słowackiego (Gdańsk-Wrzeszcz) — przyp. autora.

⁶ *Kripo* — *Kriminalpolizei*; policja kryminalna — przyp. autora.

rewiru V⁷. „Przynajmniej nie miał daleko” — pomyślałem, wsiadając.

Po kilku minutach niewygodnej jazdy brukowanymi ulicami zajechaliśmy pod jakąś kamienicę w Oliwie na *Georgstraße*⁸. Tę część Miasta znałem całkiem nieźle, ale nie miałem pojęcia, kto mógł mieszkać w tym budynku. Czerwono-biała fasada, dwie półwieże z przodu — duży ładny dom, który robił wrażenie.

Nie analizując szczegółów architektonicznych, wraz z Gerhardem weszliśmy do środka. Wewnątrz kręciła się jeszcze policja, zbierając ostatnie dowody. Na lewo od wejścia, w kuchni przy stole siedziała młoda, ubrana na czarno kobieta w białym fartuchu — gospoia. Naprzeciw niej siedział policjant, zadając pytania.

Nie zatrzymując się, weszliśmy do małego pokoju na piętrze i tam ją zobaczyłem. Leżała blada w kałuży krwi. Szkarłat jej ust zdobiła czerwień szminki i wąska strużka zaschniętej posoki wypływającej z kącika warg. Blond loki, zazwyczaj doskonale ułożone i ukryte za siateczką, leżały teraz w nieładzie.

— Inga — wyszeptałem z niedowierzaniem.

Nie potrafiłem w to uwierzyć, ale nie mogło być mowy o pomyłce.

— Znałeś ją? — Zapytał Gerhard.

— Czy ją znałem? — Zapytałem sam siebie.

I już chciałem odpowiedzieć: „No, oczywiście, że ją znałem! Każdy we *Frei Stadt* znał Ingę Freiden — Frey”, ale zamiast tego powiedziałem:

— Kilka razy byłem na jej występie.

Komisarz Ziehn milczał, patrząc przez chwilę na zakrwawione ciało, po czym odwracając wzrok, powiedział:

— Ja znałem ją lepiej — zaczął i przerwał po chwili, uśmiechając się gorzko.

Chciałem zapytać skąd, ale przypomniałem sobie krążące po Mieście plotki o romansie słynnej aktorki i piosenkarki z oficerem policji.

— *Herr Kriminalkommissar*, powinien pan już iść, musimy zabezpieczyć miejsce zbrodni i zebrać resztę śladów — powiedział któryś z funkcjonariuszy.

Wyszliśmy na korytarz wpuszczając kilku nowych policjantów. Jeden z nich niósł aparat; po chwili usłyszeliśmy trzask lampy błyskowej i poczuliśmy piekący zapach magnezji.

Gerhard wyjął małą fajkę, nabił tytoniem i zapalił.

⁷ Komisariat V rewiru mieścił się w dawnych koszarach Huzarów Śmierci (Leibhusaren) przy Adolf-Hitler StraÙe (obecnie al. Grunwaldzka w Gdańsku-Wrzeszczu) — przyp. autora.

⁸ Ulica Obrońców Westerplatte (Gdańsk-Oliwa) — przyp. autora.

— Zajmiesz się tą sprawą — bardziej stwierdził niż zapytał, mimo to potwierdziłem skinieniem głowy. — Masz jakieś pytania?

— Tylko jedno — odparłem.

— Chyba nawet wiem jakie: jesteś ciekaw, co łączyło mnie i Inge?

Miał rację, chciałem się tego dowiedzieć.

— Tak, to też. Bardziej ciekawi mnie jednak, dlaczego chcesz, żebym to ja zajął się tą sprawą, przecież...

— Jestem z policji? — Dokończył za mnie.

— Tak, jesteś z policji i, o ile się nie mylę, sam mógłbyś...

— Niby masz rację — zaczął i pyknął kilka razy z fajki, robiąc przerwę, po której spodziewałem się wielkiego „ale”, które miało wszystko wyjaśnić. — Ale sam nie mogę wziąć tej sprawy. Zapewne znasz sytuację, a przynajmniej słyszałeś pewne plotki i pogłoski, więc wiesz, że będę musiał zrezygnować ze śledztwa. Dlatego właśnie ty się tym zajmiesz. Spotkamy się jutro i wtedy będę mógł powiedzieć ci nieco więcej, a tymczasem jest parę rzeczy, o których powinienes wiedzieć

Wyjąłem bloczek, ołówek i zacząłem notować. Gerhard nie podawał wielu szczegółów, tylko suche fakty. Wydawał się być przy tym jakiś dziwny, osowiały, wyraźnie dotknęła go ta strata, ale jednocześnie zachowywał się, jakby był wyprany z emocji. Może źle to odbierałem, może praca uczyniła go takim. Ja zachowałbym się nieco inaczej.

— To zaczęło się pod koniec lata, był chyba wrzesień — rozpoczął Gerhard. — Tak, to na pewno był wrzesień; dwunasty września 1938 roku — dodał po chwili. — Jak mógłbym zapomnieć?

*

Do klubu „Rosental” wszedł zmęczony po ciężkiej służbie komisarz Gerhard Ziehn. Usiadł przy pustym dwuosobowym stoliku, zdjął płaszcz i powoli raczył się przyniesionym przez kelnera koniakiem.

„Mądry chłopak — pomyślał Gerhard. — Byłem w tym klubie tylko dwa, trzy razy, a kelner i tak zapamiętał, że zamawiałem koniak i przyniósł mi go bez słowa”.

Jednak brązowo-bursztynowa barwa trunku przypomniła sprawę, którą się zajmował tamtego ranka. Taki sam kolor miały kałuże zasychającej krwi w mieszkaniu na *Emaus*. Komisarz widział już wiele miejsc zbrodni, ale to, co zobaczył wtedy całkowicie go zszokowało. Zawsze twierdził, że ludzie są z natury źli

i tylko prawo trzyma ich w ryzach. Dzisiaj całkowicie zważył w człowieczeństwo tej bezlitosnej istoty — mężczyzny, który pod wpływem alkoholu i jakichś środków odurzających w brutalny sposób okaleczył i ostatecznie zamordował za pomocą narzędzi ogrodniczych żonę i dwójkę swoich dzieci.

Wszystko działo się w ich mieszkaniu. Sąsiedzi, zaniepokojeni mrożącymi krew w żyłach odgłosami, zaalarmowali policję. Gdy policjanci wkroczyli do środka, zobaczyli tylko porąbane ciało kobiety leżące na podłodze i zwisające obok, przytwierdzone do ścian za pomocą sekatorów, zwłoki dzieci. Nad nimi, na przebiegającej pod sufitem belce, powiesił się ich mąż i ojciec — sprawca masakry, Józef Rosen. Na ten widok policjanci pośpiesznie wycofali się z miejsca zbrodni i wezwali Gerharda — a on musiał się tym zająć.

Teraz siedział w klubie i rozmyślał, przed oczami mając cały czas obraz zmasakrowanych ciał.

„Muszę się opanować” — pomyślał, dopijając koniak i dając znać kelnerowi, że prosi o jeszcze jeden.

Podniósł wzrok i spojrzął na piosenkarkę, która właśnie zaczęła śpiewać kolejną piosenkę. Śpiew nie zwrócił wcześniej uwagi Gerharda, ale jej widok sprawił, że komisarz nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Ona, piękna blondynka, jawiła mu się jako anioł, boski twór będący kontrastem dla męczących go obrazów morderstw z piekła rodem. Na twarzy komisarza pojawił się ledwo zauważalny, ale widoczny uśmiech. Gerhard bardzo rzadko się uśmiechał.

Znudzona kolejnymi mniej lub bardziej udanymi romansami, Inga pozostawała przez dłuższy czas obojętna wobec zainteresowania, jakie okazywał jej komisarz policji. Jednak ten mężczyzna w jakiś sposób ją intrygował, więc piosenkarka zgodziła się z nim spotkać. Komisarz, chcąc zrobić odpowiednie wrażenie, zaprosił ją do „Cafe Zinglers Höhe”⁹.

Tak wyglądało ich pierwsze spotkanie.

*

Gerhard wypalił fajkę, wyszedł z willi, a ja ruszyłem za nim. Na ulicy nadal stał samochód z kierowcą. *Herr Kriminalkommissar* zatrzymał się na moment, odwracając się w moją stronę.

⁹ Kawiarnia na wzgórzu Zinglera (obecnie wzgórze Sobótki) we Wrzeszczu; jedna z najbardziej znanych restauracji w Wolnym Mieście — przyp. autora.

— Mam nadzieję, że informacje, które ci przekazałem będą pomocne.
— Na pewno — odparłem — chociaż kilka rzeczy dalej nie daje mi spokoju.
— Wpadnij jutro o drugiej na posterunek, to porozmawiamy. Teraz wybaczone, ale czeka mnie mnóstwo papierkowej roboty — odpowiedział, ściskając mi dłoń na pożegnanie i wszedł do samochodu, który po chwili odjechał.

*

Nareszcie miałem sprawę. Przez krótką chwilę to Miasto wydawało mi się normalne, ale wystarczyło, że spojrzałem w prawo i zobaczyłem czerwono-czarne flagi przetykane bielą, a cała radość uleciała ze mnie jak z dziurawej dętki. Szybko odwróciłem wzrok i poszedłem szukać jakiegoś środka transportu.

Chwilę później wskoczyłem do pierwszego spotkanego tramwaju i po kwadransie znalazłem się w *Langfuhrze*. Spojrzałem na stary zegarek, który nosiłem w kieszeni marynarki — był kwadrans po czwartej. „Zdążę zjeść, a potem odwiedzę starych przyjaciół znad Newy” — pomyślałem i skierowałem się w górę *Hochstriess*.

Wszedłem do tej samej restauracji co zwykle — „Prinzess Viktoria”. Zawiesiłem płaszcz na starym wieszaku i usiadłem pod oknem. Kiedy przyszedł kelner, zamówiłem sznycel i piwo. Niemiła, brzydka kelnerka po chwili przyniosła zamówienie, rzucając talerzem na stół i wypowiadając z wielkim trudem: *bitte*.

Nie miałem pojęcia, czy to moje legendarne szczęście, czy też obsługa instynktownie mnie nie lubiła, ale miałem nieodparte wrażenie, że tylko mój sznycel wyglądał jak fragment gumowej dętki. I jedynie zapach utwierdzał mnie w przekonaniu, że może jednak jest to mięso. Na szczęście piwo było porządne; *Artus Pils*¹⁰ cieszył się uznaniem nie tylko we *Frei Stadt*, ale i całym regionie.

Jadłem powoli, delektując się smakiem miejscowych specjałów, gdy nagle moją uwagę przykuła siedząca dwa stoliki dalej czarnowłosa kobieta. Była sama. Rozglądała się po restauracji i zachowywała się, jakby na kogoś czekała. Przez chwilę zatrzymała wzrok na mnie. Te oczy wydawały się znajome, jakbym je już gdzieś widział. Już chciałem wstać i się przysiąc, gdy przyszedł mężczyzna około pięćdziesiątki o czarnych, lekko już siwiejących włosach. Kobieta uśmiechnęła się, zapraszając go do stolika; najwyraźniej to na niego czekała. Dopiłem piwo, rzuciłem na stół kilka fenigów i wyszedłem, spoglądając jeszcze raz na tamtą kobietę.

¹⁰ Artus Pils był jednym z piw produkowanych w browarze we Wrzeszczu (na ulicy Lelewela) przez Danziger Aktien Bierbrauerei — przyp. autora.

Na zewnątrz padało coraz mocniej, zimne krople deszczu spadały mi na kark. Postawiłem więc kołnierz płaszcza i ruszyłem przed siebie, klucząc wąskimi uliczkami górnego *Langfuhru*. Musiałem spotkać się ze starymi przyjaciółmi. Po kwadransie stałem już przed starym motelem na rogu *Drewke*¹¹ - i *Steffensweg*¹² — niewysokim, kwadratowym budynku o dwu spadzistym dachu pokrytym czerwoną dachówką.

Wszedłem. W środku siedział tylko stary recepcjonista w zniszczonej czerwonej liberii, a czapka, na co dzień przykrywająca resztki jego włosów, leżała na biurku. Przywitałem się. Ostatnimi czasy bywałem tutaj dość często, więc, nie pytając mnie o nic, staruszek zaczął mówić:

— Pokój numer 25, drugie piętro...

— Trzecie drzwi po lewej. Tak, wiem — powiedziałem, powoli wchodząc po schodach. Ze smutkiem pomyślałem o upadku zasad konspiracji.

*

Spotkanie przyniosło to, czego się spodziewałem, czyli trochę pieniędzy oraz rozkaz dla czynnych agentów do opuszczenia miasta. Miałem na to trzy miesiące, ale szczerze wątpiłem, czy wytrzymam tak długo.

Nareszcie mogłem wyjechać i tylko jedna rzecz powstrzymywała mnie przed spakowaniem swoich rzeczy i odjazdem, albo — jeszcze lepiej — wylotem stąd: miałem sprawę. Postanowiłem sobie, że będzie to moje ostatnie gdańskie śledztwo.

Spacerując powoli ulicami *Langfuhru*, myślałem o Indze. Miałem zbadać sprawę jej śmierci, a jedyną pewną informacją, jaką posiadałem było to, że piosenkarka nie żyje i nie zabiła się sama. Nie miałem nic: żadnych poszlak, dowodów, motywu, nawet pomysłu, co powinienem zrobić. Należało chyba poszukać jakichś świadków — osób, które mogły coś wiedzieć. Potrzebowałem informacji, ale jedna rzecz nie dawała mi spokoju: nie mogłem rozgryźć, dlaczego Gerhard zlecił mi to śledztwo. Był przecież policjantem, i to z *Kriminalpolizei*, więc zabójstwa były jego działką, a tłumaczenie o zaangażowaniu uczuciowym zbytnio mnie nie przekonywały. U tego Szkopa nigdy wcześniej nie widziałem żadnych uczuć, chyba że akurat kroił cebulę. Ale może to także były tylko pozory.

Kiedy mówił o Frey, miał taki dziwny głos, coś jakby smutek lub żal. Może

¹¹ Ulica Sosnowa (Gdańsk-Wrzeszcz) — przyp. autora.

¹² Ulica Stefana Batorego (Gdańsk-Wrzeszcz) — przyp. autora.

rzeczywiście chciał, żeby zajął się tym ktoś niezaangażowany uczuciowo. Możliwe też, że tylko mi mógł zaufać w tak delikatnej sprawie. Ostatecznie nie miało to większego znaczenia; w tej chwili liczyło się tylko to, że mam okazję wykazać się i rozwiązać zagadkę. Dlaczego ktoś chciałby zabić piękną Inge? Jaki był motyw? Przecież nie kradzież, bo wygląd mieszkania nie sugerował, by cokolwiek zginęło. Inne rozwiązania nie przychodziły mi do głowy; wiedziałem jeszcze za mało.

Usiadłem na mokrej od deszczu ławce, czekając na tramwaj. Po drugiej stronie torów całowała się młoda para i to nasunęło mi to pewną myśl — zazdrość. Kto mógł być zazdrosny o Inge lub jej sławę? Odpowiedź na obydwa te pytania mogła nakierować mnie na sprawcę. Wsiadłem do „dwójki” i kupiłem bilet na *Kohlen Markt*¹³; postanowiłem wpaść do „Rosentalu”.

*

Miałem szczęście, bo klub był otwarty. Zająłem wolny stolik w rogu i zacząłem rozglądać się po tonącej w półmroku tytoniowych oparów sali. Słyszałem tylko strzępy toczących się wokół rozmów, ale to wystarczyło; wszyscy mówili o Indze.

Wieści szybko się rozchodziły.

Na scenie śpiewała jakaś blondynka, ale nie miała ani urody, ani talentu swojej poprzedniczki, zresztą mało kto zwracał na nią dzisiaj uwagę. Zamówiłem piwo i dalej lustrowałem salę, starając się rozpoznać kogoś z gości. Nikogo znanego, przynajmniej dla mnie, nie było. Jasnowłosa piosenkarka zeszła ze sceny nagrodzona marnymi brawami, a jej miejsce zajęła następna. Nie mogłem uwierzyć, ale to była ta sama kobieta, którą widziałem w restauracji.

¹³ Targ Węglowy (Gdańsk, Główne Miasto) — przyp. autora.